

BLIZZARD ENTERTAINMENT

Mnich

Nieustępliwy

Matt Burns

„Wicher wieje, wicher słabe drzewa łamie...”

Zota nie potrafił wymazać z pamięci pożegnalnych słów Akijewa. Dręczyły go od kilku tygodni. Za dnia wspomnienie głosu mistrza było jedynie szeptem, ale w nocy przeradzało się w grzmot.

Tej nocy było podobnie... Zota wiedział, że znów czeka go ciężka próba.

Wiatr się wzmógł, dął przez Gorgorrę niczym ostatnie mroźne tchnienie umierającego boga. Zielono-niebiesko-białe szaty nie chroniły przed chłodem i mnich przemarzył do szpiku kości. W minionych latach znosił pokornie porywiste górskie wichry w Niebiańskim Klasztorze, ale ten wiatr był inny. Niósł niepokój, jakby to sami bogowie lasu kulili się ze strachu.

Zota dotarł na skraj obozowiska, uderzając kijem *bo* w okrytą porostami ziemię. Omszałe sosny i brzozy oraz prastary dąb górowały nad polaną, gdzie nocował. Wielkie, powykręcane konary dębu rozpościerały się nad całym obozowiskiem, jakby chcą otoczyć je ochroną.

Dwaj mężczyźni nadal spali przy jego ognisku, szczelnie owinięci w poszarpane, wełniane koce. Mnich liczył, że spędzi noc w samotności, ale tuż po zachodzie słońca spotkał uchodźców. Kusiło go, aby odmówić im miejsca w swoim obozowisku, ale mistrz Zoty zabronił mu odwracać się plecami do podróżnych.

„Przyjmuj ich z otwartymi rękami, ale zachowaj czujność w sercu” – nakazał Akijew. „Obserwuj ich z uwagą, jeśli bowiem skalał ich bóg chaosu, to zrobi on wszystko, by ukryć się przed twym wzrokiem”.

Zota posłusznie przyjrzał się nieznanym. Szybko ocenił, że byli wolni od zepsucia. Wychudzeni i wyczerpani mężczyźni – siwiejący ojciec i jego dwudziestoletni syn – jako jedyni przeżyli atak grupy dzikich kazrów. Parszywe kozłoludy zaatakowały obóz uchodźców z zaskoczenia i zostawiły po sobie tylko trupy i zgłiszcza.

Mężczyźni pochodzili z regionu Gorgorry, który łączyły religijne i kulturowe więzy z Iwogrodem. Uciekali na północ, aby schronić się w mieście. Pomimo przeżytych potworności ojciec i syn nie tracili nadziei i wierzyli, że spotkanie z Zotą to znak, że bóg losu nad nimi czuwa. Mnich poczuł się niemal okrutnie, gdy słuchając, jak mówią o życiu, które zaczną po dotarciu do Iwogrodu, poczuł w głębi serca, że ci dwaj prawdopodobnie zginą, zanim dotrą do miasta.

Przed położeniem się do snu zaproponowali Zocie część swoich skromnych racji żywnościowych w podziękę za nocleg w obozowisku. Mnich oparł się pokusie i uprzejmię odmówił przyjęcia daru. Tak naprawdę nie chciał mieć nic wspólnego z uchodźcami. Nauczył się nie zacieśniać relacji z ludźmi spotkanych w Gorgorze z obawy, że mogą mu wadzić.

– W takim razie ofiarujemy podwójne dary bogom. – zdecydował spokojnie ojciec. – Byli łaskawi zaprowadzić nas do ciebie, święty mężu. Nic w Gorgorze nie jest takie, jak się wydaje.

„Nie jest” – chciał powiedzieć Zota. „Dotyczy to również mnie”.

Mężczyzna mówił prawdę o lesie. Zota wychował się na opowieściach o pierwotnej puszczy Gorgorry na południe od Iwogrodu. Najmłodsze nawet z tamtejszych drzew były pradawne jaszczki w czasach, gdy powstawał zakon mnicha. W owej przedwiecznej puszczy, jak

zawsze mu wpajano, równowaga między tysiącem i jednym bogiem ładu i chaosu była niezachwiana. Zota zastanawiał się, co powiedzieliby starsi mnisi, gdyby zobaczyli, że w lesie kłębią się cienie.

Chodząc wokół obozowiska, odmawiał mantrę, która otworzyła jego umysł na pobliską knieję, w głąb której jego wzrok nie sięgał. Zota wychwycił w ciemności ruch. Już wcześniej tej nocy wyczuł nieznaną obecność. Powoli, niemal metodycznie, coś przybierało na sile z każdą godziną, jakby zbliżając się do obozowiska. Zotę przeszły ciarki na wrażenie, że jest obserwowany przez setki oczu należących do obserwatorów, których prawdziwa forma pozostawała przed nim ukryta. Co gorsza, żaden z leśnych bogów ładu, do których się modlił, nie objawił mu źródła owej obecności. Bóstwa były obojętne... nie można było na nich polegać.

Bogowie zachowywali się w ten sposób już od tygodni, odkąd tajemniczy ogień wyżłobił brudę na nocnym iwogrodzkim niebie i spadł gdzieś na południe od królestwa. Po tym wydarzeniu demoniczny pomiot bogów chaosu rozpanoszył się po lesie, a bezwzględni bandyci zaczęli bezkarnie łupić samotne osady Gorgorry. Komecie nadano tuziny nazw i wymyślono tyleż samo wyjaśnień, skąd się wzięła. Wszystkie historie łączyła jednak ponura przepowiednia głosząca nadejście złych czasów. Nigdzie cień nie był równie wszechobecny co tutaj – w gęstych, górskich lasach ciągnących się na mile w każdą stronę. Jednak odkrycie tajemniczy spadającej gwiazdy nie należało do zadań Zoty. Zbadanie natury niebiańskiego ognia zlecono innemu, wielce poważanemu mnichowi.

Gdy nadeszła głęboka noc, Zota poczuł niepokój. Zdawało mu się, że stał się igraszką czającej się w lasach piekielnej mocy. Przebiegł palcami po glifach i słowach mądrości wrytych setkami na drzewcu bo. Broń zdobiły kunsztowne wzory, a każdy upamiętniał inny etap szkolenia. Zota powtórzył słowa jednej z inskrypcji, w nadziei, że rozjaśni mu to umysł i doda otuchy. Lecz przywołał tylko wspomnienia porażek poniesionych podczas nauk u Akijewa.

Recytował pod nosem pouczenia mistrza, gdy nagle wicher ucichł.

Z oddali dobiegł trzask podobny do tego, jaki wydają suche drwa pękające w ogniu. Odgłos rozniósł się po Gorgorze, a po nim nastąpiły kolejne. Dźwięki z początku były nieliczne i stłumione, lecz szybko nabrały częstotliwości i głośności. Dobiegały z każdej strony. Zota wytężył wzrok. Jedno po drugim drzewa tuż na skraju polany zatrzęsły się, po czym rozpadły na drzazgi. Z każdym kolejnym wybuchem fala odłamków sięgała bliżej do miejsca postoju mnicha i uchodźców.

Gdy ostatnie z pobliskich drzew przestały istnieć, w lesie zapadła martwa cisza.

Starzec z synem ocknęli się, ociążali od snu.

– Co to było? – wymamrotał ojciec.

Zota podniósł rękę i uciszył mężczyznę. Podeszedł ku ciemności. W czarnej otchłani nie można było dostrzec ruchu ani kształtów, lecz wyczuł tam obecność sług bogów chaosu. Chociaż ich nie widział, zdawało się jednak, że są na wyciągnięcie ręki. Wszędzie wokół, w ziemi, powietrzu, w drzewach.

„W drzewach” – olśniło Zotę.

W tej samej chwili ziemia pod jego stopami zatrzęsała się. Kłębowisko korzeni wystrzeliło w górę rozbryzgując wilgotną ziemię, a rzucony impetem mnich wirując przeleciał na drugą stronę obozowiska i koziółkując, wylądował na kolanach.

Drzewa wokół zakołysały się i wyciągnęły ku niemu konary, skrzypiąc przy tym jęklivie niczym olbrzymy budzące się z odwiecznego snu. W przytłumionym świetle ogniska dostrzegł ruch. Z ziemi wysunęły się giętkie, splątane korzenie i wystrzeliły w kierunku Zoty i uchodźców.

– Trzymajcie się ogniska! – warknął mnich do mężczyzn.

Ojciec i syn rzucili się do ognia, by wyjąć płonące drwa. Zaczęli wymachiwać tymi prowizorycznymi pochodniami w stronę odsłoniętych korzeni. A te dotarły już na środek obozowiska. Zota odtrącił korzenie sosny, które wystrzeliły mu pod stopami. Zaatakował drzewo nawałnicą uderzeń kijem i poprawił ciosem z otwartej dłoni w pień. Drewno trzasnęło, wzdłuż pnia rozbiegła się siateczka pęknięć. Zota odskoczył, gdy sosna wybuchła i rozłupała się rozsiewając drzazgi. Złamane w pół drzewo powaliło sąsiednią brzozę.

Zota nie odczuł, aby ze zniszczeniem sosny zginął jakikolwiek demon w jej wnętrzu. Wydało mu się jednak, że bezbożna moc osłabła nieznacznie. Otworzył swój umysł na drzewa otaczające obozowisko. Wszystkie były skażone, lecz wolne od demonicznej obecności. Wyglądało na to, doszedł do wniosku Zota, że są jedynie marionetkami pojedynczej istoty.

Zatrzymał wzrok na nieruchomym pradawnym dębie. I wtedy w spróchniałym pniu wyczuł demona, którego zło rozlewało się na okoliczny las.

W odpowiedzi na odkrycie Zoty, pień dębu rozwarł się tworząc ziejącą paszczę pieniącą się zielonym mchem. Z otworu wydobył się przeraźliwy ryk. Pod Zotą ugięły się nogi. Uchodźcy padli na ziemię, zakrywając uszy i krzycząc w agonii.

Inne drzewa znieruchomiały, a demon zbierał moc gromadząc ją z powrotem w dębie. Jego konary wystrzeliły w kierunku Zoty niczym tuzin postrzępionych lanc. Mnich uskoczył i zamasyście zamachnął się bo, wysyłając niewidzialne ostrze skondensowanego powietrza w sękate gałęzie.

Dąb huknął wściekle i ponowił atak resztką połamanych odnóg. Zota uskoczył, wykonując przewrót nad gałęziami, i wylądował u stóp dębu. Jednym wściekłym pchnięciem wbił bo w dziuplo-paszczę i skupił siłę umysłu na końcu broni.

Dąb zadrżał konwulsyjnie, pień zaczął pulsować boską energią, z paszczy buchnęły płomienie. Ogień błyskawicznie strawił drzewo pozostawiając spopieloną, czarną skorupę.

– Na wszystko, co święte! – krzyknął stojący za mnichem ojciec.

Zota odwrócił się i wtedy dostrzegł, że jedna z gałęzi dębu przebiła ramię syna i przygwoździła go do ziemi. Młody człowiek stracił przytomność, lecz żył.

– To rana powierzchowna. Przeżyje, jeśli mu pomożesz. – ojciec ukląkł przy synu.

„Tak” – chciał powiedzieć Zota. Jak wszyscy mnisi był dobrze wyszkolony w sztukach uzdrowicieli. Zbadał skórę wokół gałęzi. Krew miała zdrowy, szkarłatny kolor, bez oznak skażenia... na razie.

Ojciec posłał Zocie spojrzenie pełne nadziei.

– Na pewno wiesz, jak go wyleczyć?

Zota zmusił się, aby wypowiedzieć puste słowa, których go nauczono.

– Jest skażony. W obawie przed moimi świętymi mocami skażenie to się nie ujawni, dopóki nie odejdę. Dopiero wtedy opanuje ciało i umysł twego syna. Musimy oddać go w opiekę bogów, aby mógł zaznać spokoju.

– Nie! – wykrzyknął starszy mężczyzna. – On się nie podda. Jest silny. Zaopiekuję się nim. Klnę się na tysiąc i jednego boga, że jeśli zobaczę u niego oznaki skażenia, sam go zabiję. To moja krew, mój jedyny potomek.

Padł Zocie do stóp i zaczął go desperacko błagać. Mnich także nie zgadzał się z tym, czego go nauczono. Przecież powinien dawać ludziom nadzieję, a nie ją odbierać. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie odejść. Ale gdy tylko o tym pomyślał, przypomniał mu się Akijew.

W wyobraźni Zoty stary mistrz patrzył tylko z rozczarowaniem i odrazą. Ostatni raz widzieli się wiele tygodni temu, po tym, jak Zota przeszedł rytuał wieńczący nauki i otrzymał tatuaż na czole – okręgi symbolizujące ład i chaos. Był to dzień pojawienia się nad Iwogrodem niebiańskiego ognia. Mistrz wezwał Zotę na jeden z tarasów klasztoru. Górskie wichry targały brunatno-szaro-czarnymi szatami starszego mnicha, ale ten nawet nie zadrżał. Nie bez powodu Akijewa zwano Nieustępliwym. Zota podziwiał siłę i determinację mistrza, lecz obawiał się, że nigdy mu nie dorówna.

– Ci, którzy zostali dotknięci przez pomiot bogów chaosu, muszą przejść oczyszczenie. Nie pytaj. Nie próbuj uzdrawiać. Skazę należy jak najszybciej usunąć. – Akijew przekazał uczniowi instrukcje, które otrzymał od dziewięciu Patriarchów — zwierzchników kościoła Saftiew i władców Iwogrodu. Mnisi byli zbrojnym ramieniem kościoła i odpowiadali za wykonywanie dekretów wydawanych przez boskich pomazańców rządzących królestwem.

– Patriarchowie wyznaczyli ci trudne zadanie, zarezerwowane wyłącznie dla najbardziej oddanych spośród członków naszego zakonu. – Zmierzył Zotę przenikliwym wzrokiem i zmarszczył brwi. – Wyświęcono cię na mnicha, ale zastanawiam się, czy naprawdę jesteś gotów. Są chwilę, gdy myślę, że nadal jesteś tym głupim chłopcem, który pierwszy raz przybył do klasztoru, bardziej zwierzęciem niż człowiekiem... dzięki bestii zaślepioną przez uczucia i intuicję oraz ulotne kaprysy, zmienną niczym chorągiew na wietrze. Czy jesteś tym chłopcem, czy mnichem?

– Tamtego chłopca już nie ma. – zapewnił Zota.

– Dowiedz tego. Lecz pamiętaj, że rozszałały wicher powali chwiejne drzewo.

Następnego dnia Akijew wyruszył na własną misję. Zota opuścił klasztor niedługo po nim. Słowa mistrza wryły mu się jednak w pamięci, jak nieustanny wyrzut po poniesionych porażkach.

Teraz głos Akijewa brzmiał jeszcze głośniejszy, zgrzytał w uszach niczym szcęk mieczy. Zota poczuł gniew, że choć pomyślał o porzuceniu obowiązku i sprzeciwieniu się dekretem Patriarchów.

„Obowiązek jest wszystkim” – powtórzył sobie w duchu. – „Patriarchowie przemawiają w imieniu bogów. Kim jestem, by kwestionować ich słowa? Stanowię tylko narzędzie ich woli”.

Święci przywódcy Iwogrodu byli reinkarnacjami pierwszych dziewięciu ludzi, którzy zostali wybrani przez bogów do rządzenia Iwogrodem. Czterech złożyło śluby ładu, czterech śluby chaosu, a jeden zachował neutralność. Starali się utrzymać równowagę. Czasem oznaczało to konieczność wysyłania mnichów do trudnych zadań, ale taka właśnie była natura

wszechrzeczy. Chodziło o to, aby zachować równość między ładem i chaosem i nie pozwolić, aby jedna ze stron górowała nad drugą.

– Odsuń się. – rozkazał Zota, lecz starzec ani drgnął.

– Mój chłopiec nigdy nie znieważył patriarchów! A oni tak mu się odpłacają? – Uchodźca cofnął się i ze swojej torby przy ognisku wyciągnął tępy nóż. Zamachnął się dziko na mnicha.

Zota złapał starca za nadgarstek i wykręcił, aż mężczyzna puścił nóż. Ojciec krzyknął z bólu i padł na kolana.

– To mój jedyny syn. – zaszlochał.

Stracił wolę walki. Upadł i rozpląszczył się na ziemi.

Zota powoli podszedł do syna, recytując w myślach jedną ze starożytnych przysięg zakonu: „Między bogami chaosu i ładu kroczę. Stron obu słucham, nie stając po żadnej. Jestem wojownikiem na skraju przepaści. Dopóki zachowuję równowagę, dopóty jestem bez grzechu”.

– Bez grzechu. – powtórzył słowa na głos, położywszy dłoń na piersi młodzieńca.

Zota zamknął oczy i wyszeptał mantrę, która nappełniła syna świętą energią. Był to akt łaski, którego mnich nauczył się od Akijewa. Przynosił spokojną i bezbolesną śmierć tym, którzy zostali śmiertelnie ranni, i którym moce zakonu nie mogły już pomóc. Poczul, jak serce chłopka bije coraz wolniej i wolniej, aż w końcu staje.

Następnie zebrał porozrzucane drewno i zbudował stos. Ciało zmarłego należało oczyścić w płomieniach.

Zanim kości się całkiem zwęgliły, nadszedł świt. Zota ruszył w drogę. Powinien czuć dumę, że wypełnił wolę patriarchów. Lecz myślał jedynie o załamany starcu, którego zostawił za sobą. W duszy ojca siedzącego nad szczątkami syna zgasły resztki nadziei. Choć modlił się do bogów, ci już nie słuchali.

Trzy dni później Zota natrafił na wymordowaną karawanę.

Na niewielkiej polanie okrytej dywanem sosnowych igieł doliczył się ośmiu ciał. Zastłonił twarz kawałkiem szaty, aby nie czuć smrodu, i otworzył umysł, szukając w okolicy śladów obecności demonów. Nie znalazł.

Obok przepołowionego ciała potężnej bestii juczej leżały torby z zaopatrzeniem. Było ich za dużo nawet jak na tak duże zwierzę. Nieopodal drogi Zota trafił na ślady kopyt, każdy z tropów prowadził w innym kierunku.

Ciała były jeszcze świeże, ludzie zginęli nie dalej jak dzień temu. Większość miała na sobie szare ubrania, typowe dla mieszkańców Gorgorry. Jednak przy wielu ofiarach Zota znalazł z kunsztem wykonane miecze i topory, niepasujące do prostego odzienia.

Przykucnął przy najbliższym zmarłym, dobrze zbudowanym mężczyźnie o zgrubiałych i pooranych bliznami dłoniach. Bez wątplenia wojowniku. W ranach na rękach i piersi kłębiły się larwy. Wyglądało na to, że prawie wszyscy wędrowcy byli przed śmiercią torturowani.

Szczególnie jedno ciało przykuło uwagę Zoty. Kobieta – naga w pogorzeliisku na środku obozowiska – miała zwęglone nogi. W przeciwieństwie do innych ofiar pozbawiona została głowy. Zota przeczesał polanę, ale nigdzie jej nie znalazł.

Masakry dokonano z zimną krwią. Dało się to wyczytać ze śladów na miejscu zbrodni. Nie wiadomo było tylko, skąd tyle okrucieństwa u sprawców. Ale patriarchowie nie wysłali Zoty do Gorgorry, aby rozwiązywał zagadki. Wystarczy zatem, by oczyścił ciała, zanim wyruszy.

Mnich zauważył w popielisku coś na wpół zakopanego. Pochylił się i wyciągnął zdobiony drewniany flet obity mosiężnymi ćwiekami. Dziecięca zabawka. Pamiętał, że miał podobną, kiedy trafił do klasztoru. Muzyka była od zawsze ceniona zarówno w zakonie, jak i całym Iwogrodzie, ale Akijew nie podzielał zamiłowania swych krajan do sztuki. Gdy tylko mistrz znalazł u ucznia flet, złamał go wpół i rzucił z urwiska, nad którym wznosił się Niebiański Klasztor.

Zota wytarł instrument z sadzy i przyłożył do ust. Dźwięk był pusty, nieczysty i fałszywy. Granie na tym flecie było równie bezsensowne, co życie Zoty, zanim dołączył do zakonu. Już miał wrzucić zabawkę, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Ciężar instrumentu w rękę przynosił niespodziewaną otuchę i spokój. Mnich schował go więc za pazuchę, wmawiając sobie, że to pamiątka po słabym, głupim chłopcu, jakim kiedyś był Zota.

Na skraju polany zatrzeszczały bujne korony drzew.

Zota zerwał się na równe nogi i odwrócił w stronę, skąd nadszedł dźwięk.

– Pokaż się! – krzyknął mnich.

Kaskada strząśniętych liści opadła na ziemię. Zota podkrał się do lasu, gdzie panował nieprzenikniony mrok. Nagle z wysokiej brzozy zeskoczyła niewielka postać i pomknęła między drzewa.

Zota ruszył w pogoń. Uciekinier miał na sobie popielate szaty jak martwi wędrowcy. Wyglądało na to, że to dziecko, na dodatek bardzo nieporadne. Potknęło się o wystający korzeń i zahaczyło ramieniem o pień.

Mnich dopadł je i przewrócił, po czym chwyciwszy za łachmany podniósł. Niedorostek z płaczem próbował się wyrwać. Kiedy Zota odchylił mu kaptur, ukazał się widok tak okropny, że mnichowi aż ciarki przeszły po plecach.

Chłopiec nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat. Długie, niemal przezroczyste włosy opadły aż do ziemi, otaczając chudą, mysią twarz. Skóra miała kolor wypłowiałej na słońcu kości. A oczy...

...oczy były całkiem białe. I płynęły z nich nie łzy, lecz krew.

Zota oczyścił ogniem ciała zamordowanych wędrowców i wznowił podróż. Minęło kilka dni, a ślepe dziecko nadal nie odezwało się słowem, ignorując pytania o los karawany. Mnich zaczął się zastanawiać, czy chłopiec aby nie jest również niemy, lecz pewnej nocy usłyszał, jak dzieciak we śnie powtarza: „Mamo”.

Młodziak próbował uciec przy kilku okazjach. Po ostatniej próbie Zota stracił cierpliwość, oderwał długi kawałek szaty, jednym końcem związał dziecku ręce, a drugi przywiązał sobie do pasa. Wyglądało to, jakby trzymał dzieciaka na smyczy. Decyzja, aby zabrać go ze sobą, nie przyszła łatwo. Nawet widok niedorostka budził niepokój. Mnich zastanawiał się czy w skórze dziecka nie czai się demon, ale szybko odgonił tę myśl. „Nic w Gorgorze nie jest takie, jak się wydaje”.

Chłopiec był dziwołgiem, to prawda, ale Zota nie wyczuł w nim niczego demonicznego. Młodziak ostrożnie stawiał kroki, jak wszyscy niewidomi. Mimo to nieustannie się potykał o głązy i wystające korzenie. Chcąc nie chcąc Zota musiał teraz wędrować w iście ślimaczym tempie.

Co gorsza chłopak miał kondycję zdychającego psa. Co pół mili musiał się zatrzymywać, żeby złapać oddech. Gdy tylko z pobliskiego lasu dobiegał go śpiew ptaków lub odgłosy zwierząt, chłopiec zbaczał do źródła dźwięku, kierowany dziecięcą ciekawością. Zota zastanawiał się nawet, czy nie zostawić dzieciaka na pastwę losu, ale nie potrafił się na to zdobyć. Zresztą, tylko ten niedorostek ocalał po ataku na karawanę i tylko od niego można się było dowiedzieć, co dokładnie zaszło.

Jednak dziecko nadal uparcie milczało. Zota postanowił, że skoro chłystek chce dalej ciągnąć tę komedię, to on zagra razem z nim.

– Pospiesz się, diable dziecię. – Zota pociągnął za uwięź.

– Patrz, gdzie stawiasz kroki, diable dziecię. – Ostrzegł prowadząc młodzika na kamieniste podłoże.

Podjudzał chłopca przez resztę dnia i widział, jak ten robi się czerwony ze złości. W końcu dzieciak pękł. Zjeżył się i szarpnął za uwięź.

– Nie jestem diabłem!

– A więc jednak umiesz mówić.

Dziecko skuliło się i opuściło głowę zrezygnowane.

– Powiedz, jak się nazywasz. Chcę ci pomóc.

– Kłamca. Oszukałeś mnie. Zagrałeś złą piosenkę.

– Oszukałem? W takim razie może powinienem był cię tam zostawić. Jak myślisz, ile czasu ślepy chłopiec przeżyłby w Gorgorze... – Zota przerwał przypomniałszy sobie o flecie schowanym za pazuchą. Wyciągnął go do dziecka.

– Rozumiem, że należy do ciebie.

Młodziak kilka razy zacisnął dłoń w powietrzu, nim wreszcie chwycił flet. Przycisnął go do piersi. Krwawe łzy popłynęły mu po twarzy. Wyglądał teraz, jakby ktoś pociął mu policzki brzytwą.

– Mama... – wyszeptał chłopiec. – Mama obiecała, że przywoła mnie naszą piosenką. Kiedy usłyszałem muzykę, to nie była nasza piosenka... Pomyślałem, że zapomniała.

Skierował puste spojrzenie na Zotę i zdawało się, że go naprawdę widzi. Zaraz jednak wykrzywił się z gniewem.

– Co jej zrobiłeś?

– Jeśli twoja matka była w obozie, to jest już z bogami. – odpowiedział Zota, przypomniał sobie kobietę bez głowy. Nie widział celu w zatajaniu przed chłopcem prawdy i dawaniu mu fałszywej nadziei. – Zły los dosięgnął ją i innych na długo, zanim na nich trafiłem.

– Tyle bogowie sami mi powiedzieli. – prychnął chłopiec. – Ale im nie uwierzyłem.

– Cokolwiek ich zabiło, zniknęło. Nic już ci nie grozi.

– Nie. – Odparował niedorostek. – Demon ciągle tam jest. Inni z obozu ukryli mnie na drzewie i uwolnili nasze zwierzę juczne, żeby go zmylić. Ale kiedy demon dowie się, że mnie tam nie ma, znowu zacznie mnie szukać. Mama powiedziała, że bestia nie przestanie nas gonić, dopóki nie zginiemy.

– Demonom jest obojętne, kogo mordują. I nie ścigają tych, którzy im uciekli. Ale powiedz, skąd pochodzisz? Masz jakichś krewnych w Gorgorze?

– Nie wierzysz mi. – Dzieciak zignorował pytania Zoty.

Podczas noclegu chłopiec spał zwinięty przy ognisku tuląc flet. Upór malca był irytujący, ale mnich zaczął się zastanawiać, czemu ich drogi się skrzyżowały. Nic przecież nie dzieje się bez woli bogów. Może zatem bogowie chcieli, by Zota chronił młodzika? Mały był bezbronny, samotny i przerażony...

„Ludzie będą próbowali odwieść cię od misji łzami i błaganiami. Musisz być od nich mądrzejszy. Nie możesz zbaczać z obranej ścieżki” – mawiał Akijew.

W słowach mistrza była mądrość, Zota musiał to przyznać. Został wysłany, aby przywrócić równowagę Gorgorze, a nie nianczyć sieroty. Lecz nie potrafił zostawić chłopca samego.

Mnich przebiegł palcami po rytach na bo. Zatrzymał się na głębokiej bruzdzie w połowie kija. Nacięcie było brzydkie i szpeciło kunsztownie rzeźbioną broń, ale Akijew zabronił Zocie go usuwać, aby nie zapominał, co oznacza.

– Twa broń jest tak silna, jak twój duch – powiedział mu Akijew w dniu, w którym kij Zoty uległ uszkodzeniu. Mnisi doskonalili ciała i umysły przekuwając je w instrumenty boskiej sprawiedliwości. Miecze, kije i inne narzędzia walki były tak naprawdę zbyt ciężkie. Zakon jednak cenił sobie szkolenie z użyciem różnorodnego uzbrojenia, ponieważ zwiększało to bojową sprawność. Nie dziwił zatem widok mnicha dzierżącego broń. Broń miała stanowić nie tylko przedłużenie ręki, lecz także umysłu – ponieważ właśnie idealna równowaga ciała i ducha pozwalała skupić siłę wewnętrzną i wykorzystać ją do ataku dowolnym narzędziem lub bez żadnego. Akijew był zwolennikiem tych metod i przez te wszystkie lata poświęcił mnóstwo czasu na przekazaniu Zocie filozofii korzystania z broni.

– Głupcy uznają twoje bo za kawałek drewna, coś, co łatwo można złamać – tłumaczył Akijew. – Lecz ono złamie się jedynie wtedy, kiedy się zawahasz. Dopóki kroczysz ścieżką obowiązku, nic takiego się nie stanie.

Na jednym z ogrodzonych murem placów klasztoru Zota zmierzył się Akijewem. Tego dnia uczeń walczył prawdziwą bronią. Czas ćwiczeń z użyciem nienaostrzonych mieczy i wydrążonych kijów dobiegł końca.

Młody mnich był pewny siebie tylko do chwili, gdy Akijew dobył bułaty. Szabla nie miała zdobień, lecz Zota wiedział, że nie była to zwyczajna broń. Nieustępliwy wykuł ją własnymi rękami, przecinając rozgrzaną stal, nakładając na siebie dwie połówki i sklepując, a czynności te powtarzał przez wiele miesięcy. Każdego ranka modlił się do Zeima, boga gór, aby ten napełnił ostrze niepowstrzymaną siłą. Szabla mogła z łatwością przeciąć kamień i zbroję płytową.

– Broń, nawet taka, to jedynie ozdoba. – Akijew dostrzegł strach na twarzy Zoty. – Patriarchowie wiedzą, że moje ostrze nie jest groźniejsze od twego kija. Chcesz poddać w wątpliwość ich mądrość?

– Nie. – Zota starał się, by w jego odpowiedzi zabrzmiała wiara we własne słowa.

Rozpoczęli walkę. Kiedy Akijew wyprowadził pierwsze, potężne uderzenie, Zotę dopadło zwątpienie. Nie widział przed sobą miecza, lecz człowieka, który go dzierzył – człowieka, który zawsze nad nim górował, który nigdy nie uchylił się przed powierzonym zadaniem, bez względu na trud i przeszkody.

Bułat rozłupał kij powalając Zotę na kolana. Jego mistrz wyrwał szablę i zawył wściekle:

– Głupcze! Mogłeś zginąć! Pozwoliłeś, by kierował tobą strach! – Popatrzył z odrazą na ubranego w zielono-niebiesko-białe szaty ucznia. – Jesteś zmienny, jak woda... Czasem jesteś cichy, czasem brzegi rwiesz.

Barwy odzienia Zoty symbolizowały Ymila, boga rzek. Bóstwo kojarzone było z emocjami, intuicją i życiodajnymi właściwościami wody. Niektórzy mnisi jednak, przede wszystkim Akijew, dowodzili, że Ymil jest kapryśny i zmienny. Ponieważ Zota wybrał tego boga na swojego patrona, patriarchowie postanowili uczynić Akijewa jego mistrzem. Mieli nadzieję, że surowość starszego mnicha utemperuje żywiołowego młodzieńca. I vice versa.

– Nasze zadanie jest proste, nasze rozkazy jasne. Dlaczego wszystko komplikujesz swą niepewnością? – Akijew przyjrzał się nacięciu na kiju Zoty. – To cena nieposłuszeństwa. Tak właśnie się dzieje, kiedy uchylasz się od obowiązku. Pamiętaj, że rozszałały wichur powali chwiejne drzewo.

Księżyc był już wysoko, kiedy Zota przestał rozpamiętywać przeszłość. Zranił sobie kciuk od tarcia po postrzępionej bruździe na bo. Dziecko nadał spało. Mnicha zalała fala emocji. Zaczął żałować, że w ogóle spotkał chłopca.

„Chłopiec się nie liczy” – pomyślał Zota. Przeszłość sieroty i tajemnice wymordowanej karawany tylko go rozpraszały. Gdy noc zbliżała się ku końcowi, mnich podjął decyzję. Na południe leżało kilka wiosek. Jeśli nie zostały splądrowane, znajdzie się tam ktoś, kto zaopiekuje się niedorostkiem.

Gdyby jednak się nie udało i w ciągu trzech dni Zota nie znajdzie bezpiecznego miejsca, dla chłopca pozostanie tylko jedno: wieczny spoczynek.

Zota stanął w prześwicie między koronami drzew, napawając się ciepłem porannej zorzy. Wzniósł się na palce, wyciągnął ręce ku niebu, a głowę opuścił tak, że brodą dotykał piersi. W tej pozycji z zamkniętymi oczami wytrwał przez dziesięć minut, recytując w duchu mantry.

Jego poranne medytacje stanowiły jedyną formą odpoczynku, na jaką mógł sobie pozwolić. Przez ostatnie tygodnie prawie w ogóle nie sypiał, podróżując za dnia, a w nocy pełniąc wartę.

Minęło pięć dni. Tak, jak się obawiał, osady po drodze były puste. Zota nie potrafił zmusić się do zabicia dziecka. Z każdym mijającym dniem wymyślał wymówki, dlaczego nadal nie powierzył jeszcze niedorostka opiece bogów. Dzisiaj także Zota próbował wytłumaczyć sobie swoje wahanie tym, że niedaleko leży kolejna osada.

– Miszka... to moje imię. – oznajmił chłopiec wyrwijąc mnicha z zadumy.

– A moje Zota. – mruknął w odpowiedzi i wrócił do medytacji.

Naraz jednak usłyszał melodyjny tryl, brzmiący obco w Gorgorze. Zota zaskoczony otworzył oczy. Miszka grał na flecie.

Chłopiec opuścił instrument, jakby wyczuł spojrzenie mnicha.

– Znasz „Szachraja z Omszałych Wzgórz”?

– Nie – skłamał zirytowany Zota. Była to dziecięca piosenka o niezwykłych przygodach – jedna z tych, które sam grał za młodu.

– To ulubiona piosenka mamy. Grała mi ją, kiedy byliśmy bezpieczni. – Miszka uśmiechnął się lekko. – Mogę cię nauczyć.

– To nie będzie... – zaczął Zota, ale chłopiec nie czekając na odpowiedź przyłożył flet do ust.

Zota westchnął wyrwany z medytacji.

„Niech się chłopak wyszumi. I tak wkrótce się to skończy” – pomyślał.

Kiedy wyruszyli, Zota wziął chłopca na barana. Dwie noce wcześniej pędrak potknął się o powalone drzewo i niemal złamał rękę. Dlatego czasami mnich nosił dzieciaka – aby przyspieszyć tempo podróży i trzymać chłopca z dala od kłopotów.

Kiedy Zota przemierzał gęste górskie lasy, dziecko kontynuowało piosenkę. Zota próbował ignorować melodię w nadziei, że chłopiec szybko się znudzi. Wkrótce nadszedł jednak wieczór, a Miszka nadal muzykował w najlepsze.

Dopiero w nocy, po rozbiciu obozowiska, muzyka dotarła do niego naprawdę. Z zakamarków pamięci powrócił śmiech i wspomnienie biegających między lepiankami krytymi strzechą bosych dzieci, niewinnych i nieświadomych delikatnej równowagi między ładem a chaosem. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wspomina swoje dzieciństwo.

„Rozszalały wiatr powali chwiejne drzewo”. – w głowie zadźwięczały mu słowa mistrza.

– Starczy tego! – Zota wyrwał Miszce flet i schował za pazuchę.

– Chciałem ci tylko zagrać piosenkę. – Chłopiec zmarszczył brwi.

– Wystarczyłoby raz, a nie tysiąc. – warknął Zota. Kiedy zauważył, że Miszka speszony spuścił głowę, dodał:

– Ciemno już, a ty niepotrzebnie przyciągasz uwagę.

Powód był zmyślony, lecz niedługo później stał się prawdziwy.

Dwa ostre gwizdy przeszły nocną ciszę. Zota otworzył umysł na las, wyostrzył zmysły w oczekiwaniu oznak ruchu. Bogowie jak zwykle nie okazali się pomocni, musiał polegać tylko na sobie. Wkrótce z lasu wychynęło dwóch mężczyzn odzianych w podniszczone, niedopasowane części zbroi.

Zota rozpoznał ich od razu. Najemni bandyci... Bezbożnicy.

Niepewnie zbliżyli się do obozowiska i wymienili spojrzenia. Jeden z nich, osiłek o grubych, żyłastych ramionach i połyskującej bliźnie ciągnącej się od lewego ucha ku podbródkowi, popatrzył na Zotę i zawrócił na pięcie. Drugi go zatrzymał. Miał gładko ogoloną, przystojną twarz, otoczoną długimi do ramion, kruczoczarnymi włosami. Szmaragdowozielone oczy chciwie wbiły się na Miskę.

– Noc jest ciemna, o święty. – Przystojniak przeniósł wzrok na Zotę.

– Niechaj więc blask mego ogniska rozświetli ją dla was. – Zota dokończył starożytne pozdrowienie. Przy tej dwójce nie musiał przypominać sobie poleceń Akijewa i od początku czujnie obserwował wędrowców.

– Co was sprowadza tak głęboko w las? – zapytał Zota, gdy dwaj mężczyźni przysiedli się do ognia. Mnich oddychał miarowo, a na jego twarzy malował się spokój, ale pod tą maską skrywał napięcie. Przyglądał się ruchom i zachowaniu przybyszy, szukał słabych punktów. Mężczyźni byli uzbrojeni: osiłek w potężny topór, a jego towarzysz w półtorak zatknięty na plecach.

– To samo, co ciebie. – odpowiedział przystojniak ogrzewając ręce. – Mnisi nie mogą być wszędzie, więc twój zakon poprosił o pomoc najemne ostrza.

„Kłamstwo” – miał ochotę odpowiedzieć Zota, ale się powstrzymał. Myśl, że patriarchowie mogliby wykorzystywać bandytów do pomocy w świętych misjach była świętokradztwem. Bezbożnicy czcili tylko jedną rzecz: złoto.

– Kiedy patriarchowie wydali ten dekret?

– Nie oni, lecz jeden z twych braci przemierzający te okolice. Opowiedział nam o demonie, który snuje się po tym lesie. O małym, podstępny diablęciu przebrany za ślepe dziecko, o licach i włosach białych jak śnieg. – uśmiechnął się do Miszki. – Zdaje się, że nas uprzedziłeś i już odnalazłeś diabelskie nasienie.

Miszka oburzył się na te słowa.

– Nie jestem demonem!

– To czemu jesteś związany? – zarechotał mężczyzna z blizną.

– Ten, kto mnie goni, jest demonem. Zabił mamę i innych. – Z oczu Miszki pociekły strużki krwi.

– Krwawe łyzy... – zdumiał się przystojniak. – Demon, nie demon, ale na pewno jesteś przeklęty.

– Nie robię tego specjalnie. Taki się urodziłem. Mam mówiła, że tylko głupcy myślą, że to klątwa. – Miszka wyciągnął ręce i uczepił się Zoty. – Wierzysz mi, prawda?

– Cicho. – szepnął Zota. Przeniknął go strach i niepewność.

„Nic w Gorgorze nie jest takie, jak się wydaje”.

Możliwe, że jakiś głupiec z zakonu wziął do pomocy najemników. I jeśli mnich ów uznał chłopca za demona... Czyżby Zota dał się zwieść?

„Nie”. Obserwował chłopca od wielu dni. Miszka był tylko dzieckiem, choć przeklętym przez bogów. Wieści o szkaradnym niedorostku wędrującym przez las na pewno się rozniosły, a tamten drugi mnich musiał od razu uznać, że małego opętało zło.

– Gdzie ten mnich? Muszę pomówić z nim o dziecku.

– O demonie, znaczy się? – poprawił przystojniak. – Ostatni raz widzieliśmy go na zachód stąd. To on znajduje nas, nie my jego.

– Oddaj nam stwora. – wtrącił człowiek z blizną. – Mnich obiecał nam za niego nagrodę, tyle złota, ile waży ta szkarada. Potrzebujemy pieniędzy. Od wielu dni żywimy się samymi korzonkami i padliną.

Zota go zignorował.

– Na zachód, powiadasz. Odszukam go.

– Pójdziemy z tobą. – oznajmił osiłek. – Mnich jest nam coś winny, za nasz trud.

– Wasze zadanie dobiegło końca. – Zota powstał i podniósł Miskę.

– Wnoszę, że masz nas czymś spłacić? – przebiegle zapytał przystojniak.

– Możecie liczyć na wdzięczność patriarchów.

Mężczyzna z blizną splunął pod stopy Zoty. Jego kamrat westchnął.

– Widzisz, i tu rodzi się problem. Obowiązek i honor są w porządku dla ciebie i twoich łąsych braci, ale dla nas nie mają wielkiej wartości.

Zota wziął kilka oddechów, aby stłumić gniew. Zbyt długo musiał znosić obecność tej dwójki.

– Dlatego właśnie żyjecie w brudzie i hańbie.

Mężczyzna z blizną zjeżył się, ale jego kompan jedynie zaśmiał się ochryple parsknąwszy z pogardą. Śmiejąc się dobył półtoraka.

– Uparty jesteś, co? – rzucił. – Twoja broda jest znacznie krótsza niż u tego drugiego. Pewnie dopiero niedawno wyrwałeś się spod tatusinej opieki w tej waszej górskiej norze.

Zota stał w bezruchu, napiął mięśnie.

– Wystarczy, by rozprawić się z dwójką bezbożników.

– Z dwójką może, ale co powiesz na trójkę?

Przystojniak gwizdnął.

Z ciemności za Zotą zabrzmiał brzęk zwalnianej cięciwy i świst pocisku przeszywającego powietrze. Mnich zawirował i zamachnął się kijem, złamana strzała upadła mu do stóp.

Tymczasem przystojniak obszedł ognisko i ruszył do Miszki. Zota gwałtownie obrócił kijem w kierunku płomieni. Fala powietrza przetoczyła się z bo w ogień zasypując bandytę płonącymi szczapami. Większość odbiła się od zbroi, ale jedna smolna drzazga trafiła go w oko. Mężczyzna zawył potwornie. Od iskier zapaliły mu się włosy.

Osilek przeskoczył nad ogniskiem i wylądował przed mnichem z uniesionym toporem. Zota nawet nie drgnął. Bandyta opuścił potężną broń. Mnich z gracją zrobił krok w bok. Topór wbił się w ziemię. Zota uderzył postawnego przeciwnika kijem w ramiona. Kości pękły, rozerwały skórę i mięśnie. Osilek padł na leśne poszycie w krwawym rozbryzgu, niczym z rozbitego dzbanka czerwonego wina.

Za plecami Zota znów usłyszał stłumiony przez wrzaski brzęk cięciwy. Mnich zanurkował w bok, strzała przemknęła nad jego ramienia i wbiła się w pierś człowieka z blizną. Niewidoczny napastnik zaklął szpetnie, szelest i trzaski gałęzi świadczyły, że czmycha w głąb lasu.

Zota rozejrzał się czujnie po otoczeniu. Przystojniak już nie żył, skóra na jego szyi i twarzy pokryta była krwią i pęcherzami. Miszka zniknęła.

– Miszka? – Mnich poczuł ukucie trwogi.

– Tutaj. – Chłopiec wygramolił się spod powalonego pnia nieopodal. – Oni kłamali. Demon wysłał...

– Milcz! – ryknął Zota.

Myśli kołatały mu się w głowie. Słyszał głos besztającego go Akijewa: „To wszystko podstęp, ma uspić twą czujność. Jak możesz być tak głupi, by tego nie dostrzec?”.

– Dlaczego mi nie wierzysz? – zapytał Miszka i złapał Zotę za rękę.

Co za ironia losu... Oto niewinne dziecko, które wiele dni temu Zota postanowił zabić, lecz nie potrafił się na to zdobyć. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, jak bardzo on i Miszka są do siebie podobni. Zota też był ufnym, szczerym dzieckiem – uosabiał wszystko, czym tak gardził Nieustępliwy, stanowiło bowiem przeszkodę na drodze obowiązku. Teraz jednak młody mnich uzmysłowił sobie, że trening nie zabił w nim dziecka.

Z niezwykłą jasnością zrozumiał oczywistą prawdę: Miszka był tylko chłopcem, samotnym, przerażonym i ślepym. Dzieckiem potrzebującym przewodnika, który przeprowadzi je przez cienie Gorgorry. Nie bez powodu bogowie losu skrzyżowali ich drogi.

– Mów prawdę. – nakazał Zota. – Co to za demon? Dlaczego cię ściga?

Chłopiec przygryzł usta, ale w końcu przemówił:

– Ojciec go wysłał.

– Co za człowiek tak postępuje?

– Mój ojciec... ojciec nie jest człowiekiem. – wyjaśnił wstydliwie Miszka.

Potem opowiedział mnichowi o swojej przeszłości.

Gęsta mgła spowiła Gorgorę, stłumiła światło dnia i skąpała las w przygaszonych barwach. Minęło sporo czasu, odkąd Zota wyruszył z Miską na plecach na zachód od obozowiska. Chciał znaleźć mnicha, o którym mówili bezbożnicy, ale zaczynał czuć złość na siebie, że znów jak głupiec uwierzył im na słowo.

Parł jednak naprzód. Jeśli naprawdę był tu ktoś z zakonu, Zota musiał go znaleźć i przekazać prawdę o ślepym chłopcu. Niedorostek opowiadał o swojej przeszłości aż zapadła noc. Historia ta była tak okropna, że od samego słuchania Zota czuł obrzydzenie. Im więcej o niej myślał, tym bardziej nieprawdopodobna mu się wydawała. „Jak mam przekonać mnicha o prawdzie, skoro sam w nią wątpię?”.

Uciszył zwątpienie i szedł dalej. Po godzinie mgła zaczęła się podnosić. Dotarłszy na małą polanę Zota wyczuł zapach kadzidła. Najpierw woń ledwie się odróżniała od aromatu wilgotnej ziemi. Lecz wyczulonym powonieniem mnich wychwycił nuty róży krwistoczerwonej oraz drzewa jadeitowego.

Zamarł.

Znał ten zapach.

– Co się stało? – zaniepokoił się Miska.

Zota nie odpowiedział. Nie był w stanie. Skamieniał. Znał ten zapach równie dobrze, jak własny. Kadzidło Akijewa. Ten aromat bił od starszego mnicha podczas każdego treningu.

Zota nagle poczuł się mały i słaby... zupełnie jak chłopiec, którym był, zanim Akijew zabił w nim tę część duszy, a przynajmniej próbował...

Tamtego ranka, kiedy poznał Akijewa, powietrze było czyste i przejrzyste. Nieustępliwy wezwał go do siebie o wschodzie słońca na jeden z tarasów klasztoru. Młody mnich słyszał wiele opowieści o sile mistrza, nie mógł się doczekać aż go pozna i rozpocznie trening.

Lecz właśnie tego dnia beztrioskie dzieciństwo Zoty dobiegło końca. Szybko nauczył się, że Nieustępliwy był osobliwością w zakonie, człowiekiem, który gotów był zrobić wszystko, żeby wypełnić polecenia. Jego sile i odwadze dorównywały jedynie fanatyzm i nieustępliwość.

– Skacz. – rozkazał Akijew wskazując na skraj tarasu. Poniżej rozciągało się dwustumetrowe urwisko.

Dopiero po chwili Zota zdał sobie sprawę, że Akijew mówi poważnie. A wtedy ogarnął go strach. Wiedział, że zginie, jeśli posłucha rozkazu, ale też w głębi duszy wierzył, że będzie bezpieczny. Ostatecznie jednak Zota uznał, że wypełnienie polecenia byłoby szaleństwem.

Kiedy mistrz złapał go za szaty i zaciągnął na skraj urwiska, Zota zaczął wołać o litość. Nieustępliwy w odpowiedzi na te błagania rzucił go w przepaść. Zota zamknął oczy szykując się na śmierć, lecz nieoczekiwanie uderzył w skalną półkę dwa metry niżej – półkę, której wcześniej nie widział.

Wtedy nauczył się, że klasztor kryje wiele tajemnic: nic nie było takie, jakim się zdawało, a liczne iluzje miały na celu utrzymanie akolitów w ciągłej czujności.

Po upadku Zoty, Akijew wciągnął go z powrotem na taras. Młody mnich trząśniętym się konwulsyjnie.

– Drżysz jak osika. – zbeształ go mistrz. – Strach cię niewoli. Dlatego nigdy nie zostaniesz mnichem. Jesteś tylko przestraszonym chłopcem, dla którego nie ma miejsca w tym zakonie.

Zota zebrał się na odwagę, aby spojrzeć Akijewowi w oczy. Nieustępliwy zapytał:

– Wybieraj. Jesteś chłopcem, czy mnichem?

– Nie jestem chłopcem. – odpowiedział Zota ocierając łzy.

– Dobrze zatem. Jeśli jeszcze raz wyjdzie z ciebie chłopiec, nic nie uratuje go przed upadkiem.

Zota przestał wspominać i potrząsnął głową. Tego dnia nie zaufał intuicji. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Przez lata Nieustępliwy pracował z zapalem, aby wykorzenić u młodego ucznia zaufanie do przeczuć, zwłaszcza w trudnych sytuacjach. To czy Zota miał rację, czy nie, dla Akijewa się nie liczyło. Uważał, że ów egocentryzm upośledza zdolność do wykonywania poleceń patriarchów i wypełniania boskiej woli.

– O co chodzi? – zapytał Miszka schodząc Zocie z pleców.

– O nic. – Zimny niepokój ścisnął mu żołądek. Gdyby to był jakikolwiek inny mnich, może Zota zdołałby go przekonać o niewinności Miszki. Ale nie Akijewa Nieustępliwego.

Zota już chciał zawrócić i odejść, lecz zanim zdążył wprowadzić haniebną myśl w czyn, mistrz odnalazł jego i Miszkę. Akijew wyszedł zza olbrzymiej sosny prowadząc juczną bestię obładowaną skórzanymi torbami różnych rozmiarów. Starszy mnich wyglądał jak zawsze — spokojny i opanowany, bez śladu siwizny na czarnej brodzie. Symbole ładu i chaosu na jego czole nadal rysowały się wyraźne, zupełnie jakby wytatuowano je wczoraj, a nie wiele lat temu.

– Zota. – rzekł Akijew. Obrzucił krótkim spojrzeniem Miszkę, ale na jego twarzy nie było widać zaskoczenia.

– Mistrzu. – Zota złożył ręce i pokłonił się nisko.

Starszy mnich powoli zrobił kilka kroków i zatrzymał się przed dawnym uczniem. Zota o głowę przewyższał mistrza, ale i tak miał wrażenie, że stoi przed olbrzymem.

– Obawiałem się, że nie jesteś jeszcze gotowy, ale chyba dowiodłeś, że nie miałem racji.

– Akijew spojrzął na Miszkę. – Udało ci się to, czego ja nie zdołałem uczynić. Zaiste, niezbadane są wyroki boskie.

Zotę rozpierała duma. Akijew nigdy wcześniej go nie chwalił. Mistrz zawsze znajdował powód, aby go zganić. Podczas pobytu w klasztorze młody Zota widział, jak inni mistrzowie nawiązywali pozytywną więź z akolitami. Kiedy młodzicy popełniali błąd, nie zawsze ich karano, częściej pokazywano, co należało zrobić. Z Akijewem było inaczej. Zota otrząsnął się z odurzenia wywołanego niespotykaną pochwałą mistrza i przypomniał sobie, że waży się los dziecka.

– Szukasz demona, lecz chłopiec ten... – zaczął Zota, lecz mistrz mu przerwał.

– ...nie jest chłopcem. Nic w Gorgorze nie jest takie, jak się wydaje. Popatrz tylko, co stało się z tym świętym miejscem. Równowaga została utracona. Zoto, oto chwila prawdy, dla

której szkoliliś się całe życie. – Akijew ściszył głos do szeptu i wskazał na Miskę. – Bogowie ładu się niepokoją. To plugastwo w skórze dziecka, kolejny znak, że źle się dzieje.

Chłopiec milczał przez całą rozmowę. Dopiero teraz Zota zauważył, że dziecko było sparaliżowane ze strachu. Z oczu płynęła mu krew, dygotał.

– To demon! – krzyknął nagle. – Demon!

– Widzisz. – Akijew pozostał niewzruszony. – Podstępny stwór posunie się do kłamstwa, aby ukryć swoje prawdziwe oblicze.

„Plugastwo”. Opowieść Miszki wydawała się Zocie absurdalna. I na tym polegał kłopot. Młody mnich wiedział, że musi działać szybko, zanim dopadnie go zwątpienie, dlatego oczyścił umysł i przypomniał sobie opowieść dziecka...

Zeszłej nocy Miska wyznał, że jest synem jednego z patriarchów i jego konkubiny. Z powodu szpetoty ojciec chciał skazać go na śmierć, ale matka przekonała patriarchę, aby zamknął dziecko w iwogrodzkim pałacu. Tam Miska żył przez wiele lat w odosobnieniu, dopóki z nieba nie spadł ogień. Kiedy opowieści o mrocznych siłach w Gorgorze i innych rejonach dotarły do Iwogrodu, strach i obłęd ogarnęły królestwo. Wśród przerażonego ludu zapanowało napięcie. U patriarchów zaczęto szukać odpowiedzi... i wybawienia.

Patriarchowie byli głosem samych bogów, patronami prawości. Spłodzenie przez jednego z nich dziecka o wyglądzie Miszki w najlepszym wypadku uznane zostałoby za zły omen. Ale w tych ponurych i złowieszczych czasach, posiadanie takiego potomstwa poddałoby w wątpliwość nieskalaną czystość patriarchów. Z tego powodu, jak wywnioskował Zota, święty przywódca postanowił pozbyć się syna. Tylko dzięki staraniom matki i garstki lojalnych sług Miska uniknął śmierci i został wywieziony z Iwogrodu w samo serce Gorgorry.

Kiedy Zota skończył opowiadać, Akijew patrzył na niego uważnie. Nie podważył historii, ani nie zadał żadnego pytania. Powiedział tylko:

- Usłyszałeś jedynie kłamstwa, którymi karmił cię demon.
- Wiem, że to niewiarygodne, ale wierzę, że jest niewinny.
- Wierzysz? Czy przysięgłbyś na honor adepta zakonu, że to prawda?
- Tak. – odrzekł Zota, ale w jego głosie brak było przekonania.

Akijew opuścił głowę i wziął głęboki oddech.

– Zatem myliłem się...

– Jak mówiłeś: nic w Gorgorze nie jest takie...

Akijew przerwał mu nagłym kopnięciem z półobrotu, które trafiło Zotę w mostek. Z płuc młodszego mnicha uszło powietrze.

Pociemniało mu w oczach i zabuczało w uszach. Usłyszał krzyk Miszki. Kiedy odzyskał wzrok, ujrzał, że Akijew stoi obok i trzyma dziecko za włosy.

– Myliłem się co do ciebie. – rzucił gniewnie Akijew. – Jak mogłeś tak bardzo zboczyć z drogi? To właśnie jeden z patriarchów powiedział mi o demonie! Kim jesteś, by kwestionować słowa pomazańca?

Zota próbował wstać wspierając się na kiju. Uderzyły go słowa Nieustępliwego. Pomyślał: „Jeden z patriarchów mu powiedział. Czy reszta wiedziała o misji?”.

– Zabij stwora... – rozkazał Nieustępliwy. – ...a twoje grzechy zostaną ci odpuszczone.

Chęć, by posłuchać rozkazu, była przemożna. Zota całe życie postępował zgodnie z naukami mistrza. Sprzeciw przychodził młodemu mnichowi z takim trudem, że niemal przyprawiał go o fizyczne cierpienie. Jednak wewnętrzny głos podszeptował Zocie, że tak właśnie należy postąpić. Intuicja, przeczucie, które przez lata treningu Akijew próbował w Zocie stłumić, teraz znowu się odzywały. Stały w sprzeczności z wszystkim, czego Zotę uczono, ale na swój niewytłumaczalny sposób, rozjaśniały ogład sytuacji.

– Nie... On nie jest... – zdołał wydusić Zota, dysząc charkotliwie.

Mistrz westchnął.

– Miałem nadzieję, że będziesz silny, że przezwycięzysz słabość. Ale nadal jesteś chłopcem. To moja wina.

– Bogowie są niespokojni, sam mówiłeś, mistrzu. – odparł Zota, po czym zebrał się na odwagę, by wyrzec bluźnierstwo. – Patriarcha, który cię wysłał, nie dba o zachowanie równowagi. Demon, którego szukasz, jeśli w ogóle istnieje, jest gdzie indziej.

Akijew wbił mu kolano w brzuch. Młody mnich upadł. Podniósł wzrok na zbliżającą się dłoń mistrza. Poczul rwący ból w czole i ciepło zalewające mu oczy i nos. Kiedy Akijew cofnął dłoń, Zota ujrzał w niej krwawy płat skóry z wytatuowanymi symbolami ładu i chaosu.

– Nie masz już prawa nosić tych świętych znaków! Nie jesteś mnichem... Natychmiast wróć do klasztoru i czekaj na moje przybycie. Patriarchowie osądzą twoje świętokradztwo.

Nieustępliwy odwrócił się, ciągnąc za sobą Miskę. Zwalczywszy wstyd, Zota powstał. Świadectwo porażek oraz nauk wyryte na kiju zdawało się ranić jego dłoń.

Gniew palił go jak ogień ... gniew wzniecony przez upokorzenie ze strony Akijewa, i przez zduszoną dziecięcą wiarę, którą Nieustępliwy tak gardził.

Zota rzucił się na Akijewa, błyskawicznie skracając dzielący ich dystans. Uderzył mistrza kijem w szyję. Od wysiłku ramiona Zoty zadrżały, jakby napotkały litą skałę. Kij się ugiął, pęknięcie na broni się powiększyło.

Akijew zachwiał się lekko, lecz to wystarczyło, by Miska zdołał się wyrwać.

– Ukryj się, jak ci matka kazała! – wykrzyczał doń Zota. – Nie wychodź, aż usłyszysz melodię!

Potykaç się Miska zniknął w lesie. Zota wiedział, że chłopiec sam daleko nie zajdzie.

Ale Akijew chwycił przynętę. Dobył bułata i puścił się w pogoń za małym uciekinierem, ostrze szabli zamigotało blade w leśnym półmroku. Zota błyskawicznie skierował bo w pierś Nieustępliwego. Akijew bez trudu sparował uderzenie i zamachnął nisko szablą z oslepiającą szybkością. Zota równie szybko zrobił obrót, odbił się od ziemi, a następnie od drzewa z tyłu i przeskoczył nad starszym mnichem.

Ostrze Nieustępliwego przecięło pień. Ogromna sosna zaczęła się chwiać zagrażając stojącej na polanie juczej bestii. Zwierzę prychnęło i ociężale ruszyło przed siebie. Grzbietem

zahaczało o niskie konary, gubiąc w nieładzie juki i torby. Zota drgnął, gdy sosna z potężnym hukiem uderzyła w ziemię.

Rzeczy Akijewa rozsypały się na wszystkie strony. Największa torba rozerwała się, a ze środka wytoczył się przedmiot pokryty solą i ziołami. Blady i w stanie rozkładu. Głowa kobiety. Twarz zastygła w niemym krzyku. Pasma czarnych włosów rozsypały na leśnym runie.

Fragmety układanki ułożyły się w całość. Wymordowana karawana. Ciało bez głowy. Demon.

Zota popatrzył na Akijewa z niedowierzaniem. Mistrza można było nazwać najokrutniejszym i najbardziej surowym z mnichów, ale Zota nie sądził, że Nieustępliwy zdolny jest do zwykłego morderstwa.

Nie wyobrażał sobie, aby patriarchowie mogli zaaprobować rzeź karawany, bez względu na powód. Nie, stała się straszna rzecz. Było oczywiste, że ojciec Miszki był jednym z patriarchów oddanych chaosowi i że działał bez wiedzy pozostałych władców. Możliwe, że dlatego wybrał Akijewa – człowieka, który bez wahania wykonywał nakazy.

Akijew nawet nie spojrzął na głowę. Wbił bułat w lewe ramię Zoty, rozcinając mu mięśnie do kości. Ręka młodego mnicha zwisiała bezwładnie. Odsunął się o kilka kroków, żeby dojść do siebie.

Zota zamachnął się kijem, markując uderzenie w głowę, a następnie wymierzył Nieustępliwemu kopniaka w brzuch. Akijew złapał go za kostkę i rzucił na powalone drzewo.

Zanim Zota zdołał uskoczyć, mistrz uderzył bułatem. Zota machnął kijem, aby odbić cios, ale w obliczu legendy, z którą się mierzył, czuł się bezbronny. Jego umysł ogarnęło zwątpienie tak, jak podczas treningów. Szabla rozłupała bo, ale kij zdołał osłabić i odbić atak. Bułat Akijewa ciął poprzecznie pierś zostawiając płytką ranę.

Zota podparłszy się zdrową ręką próbował wstać, ale padł na kolana powalony bólem.

– Walczysz tak, jak sądziłem, bez pomysłu i zdecydowania – stwierdził Akijew z pogardą.

– Wiesz, że chłopiec nie jest demonem. – zdołał wykrztusić Zota.

– Wiem tyle, ile powiedział mi patriarcha. Nie kwestionuję jego słów.

– Karawana... Zamordowałeś tych ludzi.

– Wypełniłem mój obowiązek.

– Obowiązek kazał ci nająć bezbożników i mordować niewinnych?

– Bandyci byli moim narzędziem tak, jak my jesteśmy instrumentami bogów. Posłałbym ich na sąd boży, gdyby to oni przyprowadzili mi demona. A co do uchodźców, ukrywali stwora. Kiedy zapytałem, gdzie się schował, obrazili patriarchów. Wędrowcy zginęli jak psy, którymi byli.

Akijew wskazał na ściętą głowę.

– Należy do diablity. Wziąłem ją na dowód jej śmierci. Była niewolnicą dziecięcego demona. Wszetecnicą, którą stwór wysyłał do wioski, by zwabić nowe ofiary.

– Kłamstwo. – odpowiedział Zota. – Jego ojciec, patriarcha, zlecił to morderstwo ze strachu. Bał się, że lud uzna go za nieczystego, że poddani obrócą się przeciw niemu, jeśli wyjdzie na jaw, że spłodził kalekie dziecko. Porzucił równowagę dla własnych celów.

– Nigdy nie pojmiesz, czym jest obowiązek – skrzywił się Akijew. – Potępiasz moje czyny patrząc na nie ludzkim okiem, lecz kieruje mną wola bogów. Jesteś gorszy od heretyków. Plamisz honor mój i całego zakonu. Postawię cię przed sądem bożym.

– Wiesz, że to tylko chłopiec, a jednak wolisz zignorować prawdę. – stwierdził oskarżycielsko Zota, gdy Nieustępliwy wznosił szablę. Przez chwilę w oczach mistrza pojawiło się zwątpienie, jednak i tak zadał cios.

Czas zwolnił, kiedy klinga zaczęła opadać... Nagle Zota doznał olśnienia, zdał sobie sprawę, że to nie on zboczył z drogi, lecz Akijew. Nieustępliwy okazał słabość, ugiął się pod naporem chaosu i stał się ślepy na prawdę.

Zota wznosił modły do milczących bogów o siłę. Jeśli w Gorgorze pozostało cokolwiek niewinnego, wiedział, że był to Miszka. Młody mnich skupił się na tej jednej myśli, przypomniał sobie, że przez cały czas kierował się prawami równowagi. Stłumił strach i ból, skupił się w dłoni i skierował ją na nacierające ostrze.

Chwytał szablę Nieustępliwego. Uderzenie miało impet spadającej lawiny. Ale Zota wiedział, że nie ugnie się tak, jak Akijew. Nie złamie się.

– To tylko chłopiec. – warknął przez zęby, objąwszy ostrze palcami. – Jeszcze możesz zrobić to, co należy!

– Milcz! – ryknął starszy mnich. Pot skroplił mu się na brodzie, próbował wyrwać bułat z uścisku Zoty. Kiedy stwierdził, że mu się nie uda, Nieustępliwy pochylił się i naparł swoim ciężarem na stal w dłoni ucznia.

„Nie ugnę się. Nie złamię” – powtarzał sobie w duchu Zota.

Młody mnich z pierwotnym rykiem zgiał nadgarstek. Broń Akijewa złamała się jak sucha gałązka i starszy mnich runął z impetem do przodu. Zota obrócił złamane ostrze i z wysokiego zamachu przeciął szyję Akijewa tak szybko i sprawnie, że głowa oddzieliła się od ciała dopiero, gdy starszy mnich runął na ziemię.

Zota nie pamiętał, jak długo leżał na plecach i patrzył w bezchmurne niebo, równie czyste jak jego umysł. Nie pamiętał też nic z tego, co zrobił po wstaniu: ani opatrywania ran, ani uzdrawiających mantr, ani tego, jak z niesprawną ręką udało mu się zbudować stos pogrzebowy dla Akijewa. Pamiętał tylko, że przyłożył flet do ust i zaczął grać. Pamiętał strach, że zapomniał melodii, wszak ostatni raz grał tę piosenkę, gdy był dzieckiem.

Ale chyba nie pomylił tonów, bo Miszka wyszedł na polanę.

– Zota? – zapytał nieśmiało.

– Jestem tutaj.

Miszka poszedł za jego głosem i stanął obok.

– Demon...

– To nie był demon i już nie żyje. – odpowiedział Zota.

Rozwiązał Miszce ręce i doprowadził do głowy jego matki. Chciał pozwolić dziecku pożegnać się, zanim zostanie oddana bogom. Ale dziecko odpowiedziało tylko:

– Nie... Nie muszę. Wystarczy piosenka.

Po skończeniu wszystkiego, Zota zastanowił się, w którym kierunku wyruszyć. Nie był pewien, jak zareaguje patriarcha, jeśli Akijew nie wróci z dowodami śmierci Miszki. Zota wiedział jednak, że władca nie znajdzie drugiego takiego mnicha, jak Nieustępliwy, który bez sprzeciwu dopuści się bezmyślnych aktów przemocy i okrucieństwa niezgodnych z prawami równowagi.

Pomimo okropności, o których dowiedział się ostatnio, świadomość, że Akijew i patriarcha okryli się hańbą, przynosiła Zocie ukojenie. Podobnie jak w przypadku samej Gorgorry, ich występki świadczyły tylko, że na całym świecie nastaly złe czasy, ale zło można naprawić. Pozostali mnisi, czcigodni i honorowi wojownicy, którzy nigdy nie dopuściliby się tego, co Akijew, ryzykowali życie, aby przepędzić powstające siły chaosu. Oni, podobnie jak Zota, nie zamykali oczu na niesprawiedliwość i nie ufali ślepo dogmatom, na których opierał się zakon.

Mnich wyprowadził Miszkę za rękę z polany. Ruszyli na północ do Iwogrodu. Należało przekazać zakonowi świadectwo zdarzeń, które miały miejsce w Gorgorze. Droga Zoty nigdy nie jawiła się tak jasno i po raz pierwszy w życiu czuł, że rozumie, co to znaczy być mnichem.